



Napisal Marek Falzmann

Ilustrowal Bogusław Orłowski



# KOSMOPOL





**P**roszę tego nie ruszać, to jest niebezpieczne... – Tomms podbił w górę dłoń profesora.

Stankow z niedowierzaniem przyjrzał się szarej skałce wyrastającej z gąbczastej rdzawej flegmy śluzowatych mchów. Jego wzrok omiótł siną, bąblastą błonę pobliskich bagien i utknął w ponurym, gęstym oparze, jaki otaczał całą dolinę.

– Ta skała? – bez przekonania cofnął się w stronę pojazdu. – Przecież to zwykły lupek.

Tomms z miotaczem na biodrze i dłonią na jego rękojeści wydawał się węszyć.

– Owszem...lupek-trupek... – mruknął, kucając w błocie i nasłuchując czegoś co wprawiało kępy mchu w drżenie – ... Od pięciu tysięcy woltów zaczyna się napięcie, jakie wytwarza ten naturalny iskrownik... – wyprostował się z pobladłą twarzą – ...nigdy mniej, nawet po deszczu, a tutaj już dawno nie padało, niepokojąco dawno!

Adams, oparty o uchylony luk, badał stężenie jonowe bagiennego osocza. Wyniki musiały być fatalne, skoro ze złością złożył instrumenty pomiarowe i wskazując w stronę gór, powiedział: – Nie masz szczęścia, profesorku, nici z naszych planów. Za kilka minut zacnie się zabawa, pryskamy!!!

– I to szybko! – Tomms bezceremonialnie pchnął Stankowa w stronę luku. – Wołę nie mieć cię na sumieniu...

– Takie to groźne? – profesor niechętnie wpełzł do swojego hamaka. – Byle deszcz chyba nas nie wystraszy... i po jakie licho te kajdany?

Tomms, sapiąc z wysiłku, zatrzasnął egzobiologa w siatce elastycznych obręczy i pasów.

– Szczęśliwi ci, którzy nie znają prawdy – powiedział, niknąc w analogicznej siatce, z wyrazem przerażenia na twarzy. – Gotowi! – krzyknął w stronę luku między przedziałami.

Hermetyczne grodzie osłony biologicznej z ciężkim sapnięciem tłoków podzieliły pojazd na szereg samodzielnych jednostek.

– Tylko ostrożnie, mamy mało bielizny na zmianę – głos płynący z interfonu należał do Kaliny, dowódcy wszędoląza.

– O czym on mówi? – profesor z trudem obrócił głowę w stronę Tommsa.

– Na matkę Ziemię, czy niczego ci nie powiedzieli, nim tu zawitałeś? – zwykle opanowany i uśmiechnięty sierżant dygotał cały, a po jego czole i policzkach ciekły krople potu.

– Tyle, że to jedyna planeta, gdzie martwe i żywe splata się w gordyjski węzeł dla każdego egzobiologa.

– Dranie! – Tomms starał się opanować lęk i wyczytniał przedziwne miny, śmiejąc tym Stankowa.

– Wyglądasz, jak by cię zaraz mieli odebrać żywcem ze skóry... – profesor pozwolił sobie na krótki uśmiech. – Czy ten deszcz jest istotnie taki straszny?

– Do licha, pogadamy, jak się rozpozodzi! – krzyknął Tomms i w tej chwili właśnie egzobiolog zawył przeciągle jak syrena Titani- ca minutę po zderzeniu z lodową górą.

– To tylko uwertura – wycharczał sierżant, pryskając śliną na wszystkie strony. – Poczekaj, bracie, na finał i oszczędzaj płuca na bis...

Obaj, spięci potwornym bólem, zanieśli się obłąkanym wrzaskiem ludzi, którym nie- dzwiedź żywcem wyjada wątrobę.

– To... mnie... zabije – wyjęczał egzobiolog, czując jak jego bielizna szybko nasiąka cuchnącym potem.

– Niestety... nieee... – głos sierżanta u-tonął w nagłym mroku i tępym huku młota miażdżącego z ogromną szybkością skorupę wszędoląza. Wszystko wibrowało, drżało i zawodziło. Martwe, metalowe i plastikowe elementy pojazdu nagle ożyły głosem mechanicznej skargi, jak by starały się wypłakać swój ból niszczonej i torturowanej sieci krystalicznej. W tym przerażającym, narastającym crescendo wizgu i zgrzycie tysięcy noży tnących szkło głosy ludzi były jedynie nikłym echem prawdziwej orgii krzyku i wrzasku produkowanego przez pojazd. A potem nastąpiła cisza. Może nawet gorsza niż ten piekielny ryk, jaki było im dane poznać. Cisza duszna i gorąca. Mjeli gardła zdławione stalową łapą przeciążenia. Nie oddychali, nie dygotali, nie mogli nawet usłyszeć bicia własnego serca. Zapadali się



w coś, co było jak tężejący olów. Płonące i miażdżące zarazem... a kiedy już sądzili, że to koniec, agonია, wówczas cisza z chichotem uskoczyła przed swym bratem – hałasem. Zapłonęło światło awaryjne.

– Co to było? – egzobiolog z głębokim westchnieniem zawisł na siatce. Mimo że fizycznie był szmatą, psychicznie czuł się dobrze, nawet bardzo dobrze.

– Jeszcze nie doszliśmy do tego! – Tomms zwymiotował. – Oficjalnie nazywa się to rezonansem molekularnym, nieoficjalnie – dyskoteką świętego Wita i zawsze wiąże się z deszczem.

– Nie można tego ekranować? – spytał Stankow idąc w ślady sierżanta.

– Owszem, kilometrową warstwą skały albo ucieczką na orbitę stacjonarną, tam gdzie krąży Hefajstos – w otworze luku stał Kalina podpierając ramieniem Adamsa.

– Aleście tutaj napaskudzili... – z obrzydzeniem, ślizgając się po podłodze, podszedł do wolnego fotela i ostrożnie ułożył w nim pilota.

– Szok? – Tomms drżącymi palcami nieopodradnie odpinał swoją siatkę.

– Gorzej, wypadł z hamaka – Kalina z zadumą spojrział na egzobiologa. – Jako profesor od życia pozaziemskiego powinieneś znać się też i na ludziach... – zaczął wolno.

– Nie jestem internistą ani chirurgiem... – Stankow z niepokojem zobaczył, że lewa ręka pilota zwisa bezwładnie, a kombinezon na wysokości przedramienia fałduje się pod ostrym kątem.

– Mimo to... – Kalina odpiął siatkę wiążącą egzobiologa i pomógł mu wyjść z hamaka.

– Postaram się, ale lepiej byłoby wrócić zaraz do bazy... i przetransportować ranne... – urwał, widząc w oczach dowódcy determinację i złość.

– Jak? Czym?! – Kalina kopnął ścianę. – Ten pojazd to wrak. Rozchrzaniło nam silniki. Adams z jękiem obrócił się w fotelu.

– Na przyszłość należy wyłączać wszystko, nawet zegarki. Ten wściekły rezonans tylko czeka na obcy rytm... Sekunda nieuwagi i mechanizm się rozsypuje... – krzyknął, bowiem Stankow, niezdecydowanie tnąc rękaw, uraził

złamane miejsce.

– Przepraszam, ale ciągle jeszcze dygoczą mi dłonie – starał się usprawiedliwić swoją niezręczność.

– I co? – spytał Kalina, kiedy profesor obnażył przedramię pilota.

– Musiałbym to prześwietlić... – Stankow bezradnie patrzył na otwarte złamanie i krew, która okrzepła dużym strupem.

– A może jeszcze stół operacyjny, asystent i anestezjolog do pomocy? – Adams sycząc położył rękę na oparciu fotela.

– Do licha, człowieku, złóż mu tę łapę i zawiąż byle ścierką, o nic więcej cię nie proszę! – Kalina ze złością wyrzwał pięścią w przegrodę.

– Ale, przecież... – profesor obejrzał się na Tommsa, jak by tam mógł znaleźć rozwiązanie swoich wątpliwości.

– Rób, o co cię proszą, bracie! Niestety, żaden z nas nie umie składać takich skomplikowanych złamań. Ten sterczący gnata wygląda fatalnie...

– Gołymi rękami? Bez znieczulenia? – profesor łykając głośno ślinę starał się powstrzymać falę torsji szarpiącą jego żołądek.

– Weź się w garść i składaj to wszystko razem! Za godzinę będzie jak nowa... tutaj nie ma kłopotów z regeneracją i gojeniem... – Adams jęcząc złapał prawą ręką swój bezwładny nadgarstek i starał się naciągnąć pękniętą kość.

Profesor w milczeniu pochylił się nad fotelem. Po dziesięciu minutach, upačkany krwią po łokcie, uporał się z oczyszczeniem rany, złożeniem pękniętych kawałków i owiązaniem całości elastyczną taśmą ściągaczą wydartą z własnego podkoszulka. Adams nawet nie krzyknął, sycząc przez zaciśnięte zęby, patrzył na niego niewidzącymi oczyma pełnymi łez.

– Nie rozumiem, czy wy tutaj nie macie bodaj apteczki? – profesor, klęcząc obok fotela, z dłońmi jak rzeźnik w czasie świniobicia, przypominał azteckiego kapłana zmęczonego wrywaniem żywcem serc z ludzkich piersi ku chwale słonecznego bożka.

– Nie, bo i po co? – Tomms razem z Kaliną dźwignęli sztywne ciało Adamsa i ruszyli w stronę luku wyjściowego.



Profesor powlókł się za nimi. Wyszli na zewnątrz i omijając piramidy skalne zagłębili się w trzeszczące, krystaliczne niby-krzaki, gęsto porastające brzegi bagna.

– Hej, hop! – potężny zamach i na komendę ciała Adama zatoczyło w powietrzu krótki łuk, bezgłośnie niknąc wśród galaretowatej kry, rozpełzłej między kępami mchu.

– To jest nasza apteczka domowa – wyjaśnił Tomms otrzępując odruchowo dłonie.

– Lepszej nie ma w całym znanym nam świecie – Kalina parsknął śmiechem, widząc na twarzy Stankowa wyraz osłupienia i zgrozy.

– Jak wyzdrowiecie, to go to bagno wypłuje aż na sam brzeg! – Tomms usiadł na kępie mchu i skubiąc małe białe kulki zaczął wysysać z nich sok.

Kalina wrócił do pojazdu i z jego wnętrza zaczął wyrzucać różnego rodzaju przedmioty i pojemniki. Na jakieś pytanie profesora zareagował krótkim epitetem, więc egzobiolog czując się niepotrzebny zawrócił i usiadł obok Tommsa. Ten spał z garścią pełną białych owoców. Stankow z ciekawością sięgnął po jedną z kulek. Przypominała niedojrzałą brzosznicę. Skosztował i stwierdził, że ma posmak ananasa z czymś jeszcze mu nie znanym, ale smacznym. Nie namyślając się wiele rozgryzł następną jagodę i następną...

– Ej, śpiochu, czas wstawać!

Czuł, że trzęsą nim jak skarbonką na cel dobroczynny, ale było mu to zupełnie obojętne. Dopiero gdy usłyszał głos pilota, otworzył oczy.

– Tutaj trzeba się pytać, co wolno, a czego nie wolno! – Adams brutalnie otworzył mu usta i wpychając palce lewej dłoni do gardła, zmusił go, by wykrztusił to, co połknął.

– Wystarczy zjeść parę garści a można przespać datę własnej śmierci... – stwierdził ponuro Kalina niosąc w dłoni odrobinę galarety z bagna.

– Łykaj! – rozkazał, wpychając mu obrzydliwą, śluzowatą, drgającą kulkę do ust.

Połknął i skoczył na równe nogi z przeraźliwym jękiem. Miał teraz w żołądku, iskrzącą jak lichy, świecę zapłonową.

– Pomogło, co? – Tomms chichocząc klepnął profesora w ramię. – Zaraz ci przejdzie.

A zupełnie ci przejdzie, jak zrobisz sto kilometrów piechotą, bo tyle właśnie dzieli nas od Bazy.

– A co z deszczem? – spytał Stankow, masując obolały brzuch.

– Poza pojazdem nie mamy chyba szansy na przetrwanie tych... – nie dokończył.

– Mamy siatki i kołki. W razie potrzeby przykujemy się do skał. Ważne, by dobrze być związanym.

Kalina podniósł z ziemi spory kontener z szelkami imitujący plecak.

– To dla ciebie – mruknął, bezceremonialnie ładując kontener na ramiona Stankowa.

– No i jak ci się tu podoba? – spytał Tomms, kiedy ruszyli w górę doliny.

Egzobiolog, z dłonią na żołądku i z garbem bagażu duszącym kark, popatrzył dookoła na ponury górski krajobraz, na niski pułap żółto-fioletowych chmur, wreszcie na Tommsa z miotaczem laserowym pod pachą i pakunkiem na plecach. Kiwając głową, spytał:

– Dante Alighieri – mówi ci to co?

Tomms splunął na pobliski kopiec łupkowy, który strzelił błękitną iskrą wyładowania.

– To kaszka z mleczkiem, w porównaniu z tym, co tutaj nas jeszcze może czekać... Gdyby ten facet miał okazję tu być, to założył się, że swoje piekło nazwałby rajem, a zresztą wątpię, czy w ogóle napisałby cokolwiek... – sierżant splunął powtórnie. – ...tutaj, bracie, jest kraina, gdzie, mimo naszej techniki, tylko człowiek może coś zdziałać, odkryć, zbadać. Każda maszyna, robot lub android, po stu metrach ginie jak mucha w pajęczej sieci, i to jest najgorsze! Bo widzisz... to, co dzieje się z nami w czasie deszczu, bardzo przypomina elektrowstrząsy... Nie wiem, czy widziałeś kiedyś biedaka, któremu przedawkowano taki zabieg? Gościa spiętego na krótko? Jeśli nie, to i lepiej... Przynajmniej nie wiesz, jak będziesz wyglądał po roku pobytu...

– Czy ktokolwiek był tutaj tyle czasu? – Stankow potrząsnął ciężkim bagażem, wrzuszając ramionami.

– Tego się nie mówi, ale było ich kilku – sierżant zniżył głos. – Wszyscy dostali bzika.

– Tak? Niby od czego? – profesorska dusza była do cna sceptyczna i pełna niewiary. – Na



Ziemi twierdzono coś wręcz przeciwnego.

– Zobaczyli upiory! Zobaczyli ducha! Zobaczyli coś, co zmienia duszę i rozum w kłębowisko grozy!

– No, z tą duszą to pewna przesada...

– Nie lekceważyłbym tego tak bardzo – Tomms zachichotał zerkając za siebie.

– Nie tak dawno nie wierzyłeś, że można...

– znacząco klepnął Stankowa w plecy.

– Czyli twierdzisz, że tutaj jest wszystko możliwe, nawet upiory? – profesor z kpiącym uśmiechem zerknął przez ramię i nagłym zrywem wyprzedził Adamsa oraz zasapanego Kalinę forsującego z trudem stromy stok.

– Ależ z niego kozica – zakpił Adams zgięty pod ciężarem pakunków.

– Tam! – wrzasnął Stankow obracając się i wskazując wrak wszędołaza.

Obaj mężczyźni obejrzelisi się bez specjalnego zainteresowania kontynuowali dalszy uciążliwy marsz. Poza nimi, w białej mgiełce bagiennych oparów trzepotały dwa ciemne kształty, tańczące wokół pojazdu i tnące go smugami ognia na nieregularne bryły.

– Co to jest na matkę Ziemię?! – ryknął Stankow łapiąc przechodzącego sierżanta za ramię.

– Kto to wie? – Tomms klnąc pośliznął się na mokrym mchu.

– Ale one niszczą wszędołaz! – profesor podtrzymał sierżanta i ustawił go za swoimi plecami w dalszym, mozolnym marszu pod górę. – A może i nas zaatakują? – spytał oglądając się niepewnie.

– Nie było wypadku, by Plazmiaki dobierały się do ludzi.

Tomms nie oglądał się tak jak Stankow, ale jego ciężki laser znalazł się nagle w pozycji bojowej z odwiedzionymi bolcami bezpieczników, i profesorowi ten widok skojarzył się z czymś niejasnym i groźnym, co otaczało ich cały czas niewidzialną siecią, odkąd opuścili pojazd.

Kiedy dotarli do siodła przełęcz i dysząc ciężko opadli na lepki, wilgotny kożuch łąki, Kalina wskazała na ciemnobrunatny szczyt wyrastający gołą skalą z kłębowiska wężokrzewów tuż przed nimi.

– Tam zaczynają się jaskinie i jeżeli profesor Berth nie pomylił się, to jest to jedyne miejsce, gdzie można spotkać upiora po tej stronie Gór Smoczych.

Stankow przypomniał sobie krótką rozmowę ze swoim poprzednikiem i zadrżał. Pamiętał izolatkę, pasy i człowieka o włosach białych jak śnieg – młodego naukowca związanego jak baleron i belkoczącego bez związku o zemście i pokucie za bezczeszczenie grobów. Kiedy przyszedł do szpitala, zwrócił się do niego z prośbą o pomoc. Berth, początkowo spokojny i pozornie normalny, odpowiadał sensownie na zadawane pytania, ale kiedy usłyszał o nekropolis zamienił się w ryczący wulkan gniewu i samozagłady. Trzech sanitariuszy z trudem uratowało nieszczęśnika przed skokiem z trzydziestego piętra.

– To był fajny gość ten Berth – powiedział Tomms – ale był piekielnie roztargniony. Uparł się wylądować wszędołazem obok wężokrzewów otaczających wejście do jaskini. Oczywiście te piekielne zarośla tylko czekały na taki metalowy kasek. Po pięciu minutach nasz miły koleś siedział nagi i bosi w środku wężowego piekła i nawet jego metalowa proteza dolnego mostku została ekstrahowana ze szczęki przez głodne krzaczkę – sierżant ponuro chichocząc złapał Stankowa za szyję i udawał, że próbuje mu wyssać krew. – Ale to nic w porównaniu z wampirami – szepnął. – Te nietoperze są wielkie jak orły i gotowe są oddać życie za kroplę ludzkiego osocza. Berth, zamiast na zewnątrz, uciekł w głąb jaskini. Bez światła, bez kombinezonu, bez hełmu. Oczywiście wpadł z deszczu pod rynnę. Kiedy go znalazłem, był dosłownie przywalony ciałami wampirów. Gdyby nie te bagna w dolinie, nie przeżyłby do rana. Wprawdzie nietoperze zadowalają się maleńkim łykiem krwi, ale było ich tam około setki. Biedny Berth! Przypomniał wyssaną cytrynę, kiedy niosłem go do bagna...

– Skoro ta planeta jest tak nieprzyjazna człowiekowi, zastanawiam się, po jakie lichy zdecydowano się na Ziemi wysyłać tu ekipy badawcze? – Stankow zrobił nieokreślony ruch ręką. – Wszędzie tam w górze są ciekaw-



sze światy. Badamy ponad dwieście Układów Słonecznych...

– Tak, ale istnieje podejrzenie, że jedynie tutaj jest lub było jakieś wyżej zorganizowane życie.

Adams ze smakiem gryzł bulwiasty korzeń rośliny podobnej do marchwi.

– Słyszałeś chyba o tym malowidle na szkle, które znalazł Berth w nekropolis?

Stankow skinął potakująco głową.

– Tak, nawet go widziałem. To trudno określić jako malowidło. Zwykły kawałek wulkanicznego szkliwa z wtopionym rysunkiem, jakby istoty ubranej w habit i kaptur z płonącymi oczyma. Ale to dowolna interpretacja, z równym powodzeniem może być to kaprys natury. Znamy takie geologiczne dziwy na Ziemi.

– Pewnie! Kalina też gryzł niby-marchew – tyle że tutaj nie ma wulkanów, a nekropolis to nie wynik zjawiska krasowego, ale sztuczny twór. Wygląda to jak piękny zbiór stalaktytów i stalagmitów, tyle że każdy z nich pod pokrywą z wapnia i krzemianów ma owalny, pusty w środku rdzeń, zrobiony ze stopu żelazoniklowego plus domieszki izotopów ciężkich pierwiastków, a wszystko to jest połączone siecią grafitowych żył.

– Chciałbym to zobaczyć z bliska – Stankow pokręcił przecząco głową, kiedy Kalina podał mu oczyszczony fioletowy korzeń. – Poza egzobiologią zajmowałem się też bioniką i biochemią, mam w tych dziedzinach drugi stopień specjalizacji...

– Twoja aparatura została w dolinie i jak nie Plazmiaki zżarły ją na deser. – Tomms rozejrzył się po okolicznych szczytach węższąc z niepokojem. – A co do jaskini, to pewno ją zaraz wszyscy odwiedzimy, i to galopem... – poderwał się nagle z ręką przy uchu, cały w pozycji wyczekiwania.

– Deszcz! – Stankow prawie rozpląszczył się wśród traw wczepiając palce w elastyczne kępy mchu.

– Gorzej! O wiele gorzej! Burza! – Tomms jeszcze nie skończył mówić, kiedy Adams i Kalina byli już na nogach i z bagażami na plecach biegli w stronę brunatnego szczytu obrośniętego wężokrzewami.

– Weź broń i strzelaj tam, gdzie ci wskaże dowódca – krzyknął sierżant do ostupiałego Stankowa, wciskając mu w rękę laser.

– Co z tym? – spytał egzobiolog, wskazując na swój bagaż.

– Poniosę, biegnij! – Tomms pchnął go silnie w ramię.

– Ale co z tobą? – zaproponował Stankow widząc, że sierżant pada na kolana pospiesznie rozpinając swój pojemnik.

– Biegiem marsz! – ryknął Tomms łapiąc za kolbę lasera. – To rozkaz! – w tej chwili miał w oczach tyle wściekłości i gniewu, że profesor odruchowo stanął na baczność, po czym zrobił w tył zwrot i pobiegł w stronę wężokrzewów.

Kiedy dotarł do podnóża brunatnego szczytu, zastał Adamsa i Kalinę nad rozpakowanym kontenerem, zawierającym elastyczne cienkie kombinezony z folii silikonowej i także składowane hełmy. Na jego widok, bez słowa wyjaśnienia, Adams porwał ze stosu jeden z kombinezonów, zaś Kalina hełm, po czym skoczyli na niego jak panny garderobiane i w ułamku minuty ubrali go w śliską czarną skórę i także hełm, brutalnie ciskając jego ciałem o ziemię, każąc mu klękać i stawać na jednej nodze.

– Na matkę Ziemię! – jęknął Stankow, kiedy z bronią u boku został wepchnięty w gąszcz leniwie wijących się zielonych pnączy, z których każdy był grubszy niż strażacki wąż. – Chcecie bym tu zginął uduszony i wyssany?

– To twój stawik, egzobiologu – krzyknął Kalina trzymając się pozornie daleko od zachłannych i drapieżnych macek zarośli, – Wpadłeś, więc pływaj!

– Ale co mam robić? – jęknął Stankow czując jak coś obłego i śliskiego bada kształt jego karku i rozpiętość ramion.

– Znajdź miejsce, gdzie są ukorzenione te zielone anakondy i wygarnij tam kilka razy. Ustaw moc lasera na jedynekę. To ich nie zabije, ale uśpi. Dla tych krzaczków nadmiar fotonów to jak neuroleptyk dla ciebie. Popadają w rodzaj stuporu...

Zadanie było proste, ale zielone anakondy musiały być piekielnie głodne, jeśli mimo parzącej je silikonowej folii, w jaką owinięty



był laser, starały się dostać do jego metalowego korpusu.

Po kilku krokach profesor zauważył potężną bulwę korzenia. Wśród wirującej, coraz gwałtowniej, masy żywych gałęzi i pnączy, prawie niemożliwością było wymierzyć i strzelić. Tylko z najwyższym trudem udawało mu się utrzymać broń, szarpaną setkami cienkich białych nitok będących sensorami czuciowymi rośliny. Dla tego metalolubnego węzokrzewu jego ciało było jakby nietykalne. Mocarne łodygi, tnące ze świstem powietrze, zataczały łuki tuż obok jego głowy i ramion, ani razu nawet nie ocierając się o czarną folię kombinezonu. To była szansa i wykorzystał ją. Padł na ziemię, kryjąc pod sobą laser i jak na ćwiczeniach przepelznął na łokciach potrzebne mu trzy metry, w stronę korzenia.

Krzak zaskoczony jego akcją zastygł na moment. Do tej pory był nietykalny, ale kiedy ukrył pod sobą metal stał się konkurentem. A węzokrzew wiedział, co należy zrobić z konkurencją. Ciężkie i grube jak słoniowe nogi główne konary pochyliły się nad człowiekiem. Setka lianopodobnych macek opadła na jego ciało.

Stankow poczuł, że unosi się w górę. Przed jego oczami zielona łodyga owinęła się zdecydowanie wokół lasera.

– Ostatnia szansa – pomyślał i nie mierząc nacisnął spust. Trafił za pierwszym razem.

Gigantyczna kopała nad jego głową krzyknęła przeraźliwie, po czym sztywniejac zaczęła walić się w dół.

– Zagniecie – pomyślał cofając się w panice i zostawiając broń w stężalym uścisku łodygi.

Nie zagniotła, ale uwięziła go w szumiącym zielonym piekle spadających konarów, gałęzi i macek.

– Dobra robota, braciszku! – usłyszał głos Tommsa gdzieś za sobą i poczuł, że ktoś łapie go za stopy i wywleka spod duszącej pokrywy drgających krzewów. Oszołomiony i ogłuszony stanął na drżących nogach patrząc ze zdumieniem na wąską szczelinę w skale, do tej pory zakrytą kłębowiskiem gałęzi.

– Właż! – Tomms bezceremonialnie popchnął go w stronę czarnego tunelu. Posłusznie wstąpił na rumowisko zieloności i potyka-

jąc się, bez mała na czworakach, przepelznął dwadzieścia metrów dzielące go od wejścia do jaskini. Za sobą słyszał przekleństwa i sapanie Tommsa dzwigiającego dwa kontenery.

W chwili, kiedy dotarli do skały, coś ciężkiego spadło obok Stankowa, z mokrym chlapinięciem rozbryzgując się na strzępy.

Sierżant krzycząc niezrozumiale, skoczył do przodu, cisnął bagaże w głąb jaskini, po czym porwał profesora za ramiona i jakimś obłąkanym chwytem, rodem ze szkoły dżudo, miotnął jego ciałem w ciemną czeluść jaskini, sam też tocząc się po sypkim piasku wyścielającym jej dno.

– W ostatniej chwili – Tomms oddychał ciężko po nagłym wysiłku.

Powtórnie coś spadło u wejścia, chlapiąc i bryzgając wilgocią na wszystkie strony.

Nagły grzmot i niewyobrażalnie długa błyskawica tnąca nieboskłon od horyzontu do horyzontu, otrzeźwiły zaszokowanego Stankowa.

– Brzmi, jak by z chmur leciały całe worki mokrego szlamu – skomentował następne dwa lub trzy ciężkie, stękające uderzenia na zewnątrz.

– Bo i lecą, tyle że nie worki, ale kawały martwego koacerwatu skurczone po trafieniu wyładowaniem. Każdy taki puc waży pięć lub sześć kilo i gna koło kilometra, nim wyrznie w ziemię. Adams ostrożnie podszedł do otworu jaskini i kucając zerknął na prawie żółtosine niebo.

– No, dawno już nie było takiej burzy – stwierdził odskakując w tył, kiedy potężna fala śluzu z rozbitego koacerwatu trysnęła na skałę.

– Słyszałem i czytałem o tym, ale nie sądziłem, że to tak może wyglądać. – Stankow zbliżył się do Adamsa i z zadumą patrzył na feerię ognia i błyskawic zbliżającą się spoza wyniosłych grani Gór Smocznych. – Chyba przestało pluskać tą flegmą? – spytał stając bliżej wyjścia.

– Na parę minut! – Adams ostrzegawczo położył mu rękę na ramieniu. – Jak tylko ta zorza dotrze tutaj, zaczniesz się piekło... ej... gdzie?... zwariowałeś?!

Stankow wyszarpnął się spod ciężkiej dłoni pilota. Dwoma kangurzymi susami wpadł





między sztywne konary wężokrzewów. Zanurkował wśród zieloności, po czym z triumfalnym okrzykiem wyprysnął w górę z ciężkim i ciemnym kształtem w dłoniach. W powrotnej drodze wywinął ze trzy kozły, nim dopadł jaskini.

– Czyś ty, bracie, stracił ochotę na oglądanie rodziny i przyjaciół? – spytał Kalina wybiegając mu naprzeciw i wciągając za kark pod osłonę skały.

– Zostawiłem tam broń, a licha wie, czy się nie przyda jeszcze, kiedy będziemy wracać! – profesor z uśmiechem poklepał kolbę lasera.

Tomms leżący ciągle nieruchomo na ziemi przyjrzał się uważnie egzobiologowi. – Ten profesor zaczyna mi się podobać – szepnął na wpół do siebie. – Chyba nada się do naszej paczki... – resztę słów pochłonął oszalały ryk orkanu poprzedzający światłość niebieskiego ognia i czarną skłębioną masę burzowych chmur.

Jaskinia wibrowała jak wnętrze dzwonu. W jednostajnym huku było niemożliwością nie tylko porozumiewać się, ale i siedzieć.

Kalina zdecydowanie wskazał im bagaże i kierunek odwrotu. Musieli wejść głębiej, jeżeli nie chcieli ogłuchnąć lub oślepnąć od bijących non-stop piorunów.

Po kilkunastu metrach pospiesznego marszu natknęli się na ścianę pociętą głębokimi szczelinami.

– Dalej są już tylko tunele! – Adams obejrzał się na dowódcę. – Może zejdziemy głębiej? – zaproponował. – Wprawdzie deszcze magnetoelektryczne nie towarzyszą burzy, ale wibracje rzędu kilku herców mogą naszemu nieobytemu koledze sprawić trochę kłopotów...

– Chyba mniejszych niż te gacki! – Tomms uchylił się przed czymś ciemnym, dużym i bezszelestnym, co spłynęło z góry i omiotło ich falą nagłego podmuchu.

– Pierwsze poważne ostrzeżenie! – Adams bez dyskusji wszedł w szczelinę opadającą ostro ku dołowi.

Poszli jego śladem zostawiając za sobą wibrujący, głuchy łoskot burzy i skrzekliwe zawodzenie olbrzymich nietoperzy niezdolnych wpełznąć do wąskiego otworu. Tunel skończył się nagle, przeobrażony w mroczną salę, tak

dużą, że nawet silne reflektory na hełmach nie zdołały światłem sięgnąć przeciwległego końca.

– Nekropolis – szepnął Kalina, wskazując nieregularne kształty wyrastające kamiennym lasem wokół ścian.

– Osobiście nie pchałbym się w głąb tego labiryntu – powiedział Adams przytrzymując Stankowa za rękę.

– Nie wierzę w upiory, demony ani duchy! – profesor z uśmiechem zdjął z ramion plecak i zaczął rozpinąć kombinezon.

– Nie wolno tego zdejmować – zaoponował Tomms.

Stankow nie odpowiedział. Milcząc grzebał w kieszeniach kurtki, szukając czegoś zawięzcie. Wreszcie z sapnięciem wydobył płaskie pudełko wielkości papierośnicy. – Stymulator bioprądów – wyjaśnił zapinając się szczerlnie.

– A to po co? – Adams nieufnie patrzył na budzące grozę, półprzezroczyste kolumny stalaktytów z czarnym, przeświecającym rdzeniem.

– Jedyna szansa, by udowodnić prawdę lub fałsz hipotezy profesora Bertha! – Stankow potrząsnął pudełkiem. – Dzięki temu urządzeniu mój poprzednik zamierzał ożywić tych „umarlaków” – zniżając głos, dodał: – Podobno mu się udało... dowieść, że to są komory hibernacyjne... i obudzić... Przynajmniej tak twierdził Berth... do czasu operacji!

– Nie zgadzam się! – Kalina stanowczo przytrzymał dłoń Stankowa. – Nie wolno nam ingerować w życie tej planety, bez względu na to, czy jest to droga do kontaktu z inną cywilizacją, czy też nie jest. Mamy obserwować, ale nie eksperymentować. Każdy, kto wsadził swój węszący nochal w kolumny nekropolis dostawał bzika. Berth skończył w szpitalu jak kilku innych przed nim, bo robił to, co i oni, permanentnie łamał przepisy. Teraz Ziemia oddała mi tę całą planetę w opiekę i żaden jajogłowy mądrala nie będzie robił niczego bez mojej zgody...

– Dobrze! Zgoda! Rozumiem! – Stankow usiadł na brzegu jednego z pseudonagrobków. – Ale jak u licha mam się dostać do tego – klepnął najbliższą kolumnę – jeżeli nic mi nie wolno?



– Nie wiem! – Kalina założył ręce na piersi. – Masz oczy, to patrz, ale nie dotykaj, wyciągaj sobie dowolne wnioski bez wyciągania młotka...

– Tak? – wzrok Stankowa znieruchomiał gdzieś za plecami kolegów. – Więc... co do wyciągania czegokolwiek, to radziłbym ci Tomms nie wyciągać lasera, mimo że na pewno jesteś szybki jak Doc Holiday lub zręczny i celny jak Buffalo Bill... – mówił spokojnie i wolno, a po jego czole, skroniach i szyi ciekły perliste krople potu. – ...a co do patrzenia, to sądzę, że ta miła rodzinna krypta ma swojego opiekuna, który okresowo lubi terknąć...

– Na matkę Ziemię?! – Tomms obrócił się, krzyknął, po czym runął w ciemny labirynt stalaktytów.

Adams zemdlął, ledwie obrócił głowę.

Jedynie Kalina, jak na dowódcę przystało, oparł się pokusie natychmiastowej ucieczki. Przytomnie chwycił pilota za kołnierz hełmu i wlokąc za sobą wpelzył w jakąś wąską szczelinę poza garbem najbliższej skały.

Stankow ani drgnął. Ciągłe jeszcze miał na ramieniu laser i teraz zdjął go wolno, odblokował i czekał na ruch istoty stojącej u wejścia. Spozasu stalaktytów dobiegł go głos Tommsa: – Ej, bracie, będę cię osłaniać, skacz w tę szparę po lewej...

– Nie! – Stankow wstał i zrobił krok do przodu.

Na ten sygnał przybysz skulił się i z jakimś przeraźliwym, trudnym do opisanja jękiem skoczył w mrok tunelu, z którego wychynął.

– Proszę, proszę! Upiory znikają, kiedy prawdziwy egzorcysta trzyma właściwe kropidło w dłoni. – Tomms, mimo drżenia szczęk, starał się nadać głosowi żartobliwe zabarwienie.

– Gdzie was wymiotło, sierżancie, sądziłem, że powitacie gościa kordialnym uściskiem dłoni? – Stankow dygocząc opadł na piasek jak zepsuty manekin.

– To było gorsze niż na tym szklanym obrazku! – Kalina taszczył ciągle zemdlonego Adamsa. – Nie jestem bojaźliwy, ale jeżeli „On” tu wróci, to dołączę do Bertha, jak amen w pacierzu.

– Bez nerwów. Dostaniemy wsparcie, i to szybko, o ile Kolcow w Hefajstosie zdoła zlokalizować sygnał boi ratunkowej. – Tomms odpiął kołnierz i zdjął hełm. – Wbrew instrukcji, rozłożyłem to cudo techniki na przetęczy, ale ta burza mogła uszkodzić emiter lub antenę...

– No tak, o ile Kolcow zdoła... – Kalina westchnął. – A jeżeli nie zdoła?!

– To czeka nas miły spacer do Bazy, a chciałem tego uniknąć. – Tomms z niepokojem przyjrzał się Adamsowi, z trudem przychodzącemu do siebie. – Nie ma chłopak szczęścia! To już drugi poważny szok dzisiaj!

– Ma szczęście... – wyszeptał Kalina... – bo dla nas będzie to pewno trzeci i ostatni szok w życiu... – wskazał ręką wejście.

Stankow nie próbował nawet strzelać. Zrozumiał nagle, o czym mówił Berth, zaplątany we własną, oszałałą jaźń...

Sala zapelniała się. Wpelzali, wchodzili, czołgali się lub lecieli. „Oni”!...

– Oby tylko teraz przetrwać! – profesor wyciągnął dłoń i energicznie złamał mały palec lewej ręki, będący protezą. Popatrzył na swoich towarzyszy leżących bezwładnie, popatrzył na koszmarną falę kształtów nadpełzającą w jego kierunku, po czym osunął się ciężko na piach.

„Oby tylko przetrwać” – załopotala ostatnia myśl.

A potem był już tylko mrok, strach, zgroza, lzy i ból.

Kolcow znalazł ich następnego dnia i nie pozostało mu nic innego, jak aplikując wszystkim silne środki uspokajające, odesłać cały patrol na Ziemię.

W nielicznych chwilach jasności umysłu, Kalina powtarzał smutno:

– A jednak „On” wrócił! Witajcie chłopcy, witaj Berth, witaj szpitalu!

Istotnie znaleźli się tam po tygodniu. Stankow sztywny jak dębowa kłoda leżał w swojej izolacji przez dwa dni pozwalając się karmić i poić. Trzeciego dnia usiadł, czwartego dnia poprosił o coś do czytania. Tęgawy pielęgniarz dozorujący w dzień jego lokum, z pewną dozą rozbawienia przyniósł mu plik fotografat w tek-



turowym pudle, oraz staromodny czytnik. – Jakiś krewny zostawił to dla ciebie, profesorku! – szepnął, robiąc znaczące oko. – Krewny w mundurku ONZ-u, duże zielone oczy, fajna... – dodał.

– Dzięki! – Stankow pomyślał o mikrofonach, o podsłuchu i milcząc skinął głową. – Dzięki, braciszku – powtórzył, kiedy tamten opuszczał izolatkę.

Pielęgniarz uśmiechnął się. Wychodząc podniósł do góry kciuk. To był dziwny kciuk. Bez paznokcia, sztywny, szary. Obcy. Niepokojący.

Ale nie dla egzobiologa.

Stankow odczekał do wieczornego obchodu. Potem, w samotności i ciszy, wyjął coś, co ukryto w jego czaszce i zgniótł to pięścią. A kiedy pogasły światła, rozebrał czytnik i wyjął ze środka cichostrzelny miotacz dużej mocy, zaś spomiędzy fotogazet dwa płaskie magazynki. Następnie położył się na łóżku, okrył kocem i nacisnął dzwonek alarmu. Wpadło ich trzech. Sanitariusze. Same wysokie i tęgie chłopy.

– Lotnik, kryj się – mruknął Stankow, znacząco wskazując łufą na podłogę.

Byli posłuszni i cicho pozwolili się związać i zakneblować podartym kocem.

Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi izolatki, przestał być ciężko chorym kosmonautą. Stał się cieniem, który pełzał i przemykał korytarzami pustymi jak wzrok somnambulika. A w jego dłoni, miotacz, wyglądał jak krzyż w dłoni księdza spieszącego do celi śmierci, ponuro i bezwzględnie...

Dotarł do kraty dzielącej budynek na część administracyjną i szpitalną. Szyfrowy, magnetyczny zamek odskoczył pod dotknięciem jego palców. Teraz nie był już nawet cieniem. Był cieniem cienia, bezszelestną i groźną zjawą.

W gabinecie dyrektora szpitala paliło się światło. Wśliznął się tam i ukryty za tradycyjną leżanką, ogrodzoną parawanem, słuchał cichej rozmowy kilku osób siedzących w następnym pokoju.

– ...ależ panie Ordynatorze, ci nowi są jeszcze niepełnosprawni – przemawiał Berth – należy odczekać. Zabiegi transplantacyjne i neurochirurgiczne będziemy mogli wykonać

po oficjalnym stwierdzeniu przez komisję, że cała czwórka nie rokuje nadziei na wyleczenie...

– Bzdura! Musimy pospieszyć się! – głos był obcy, zduszony, chrapliwy i groźny. – ONZ zdecydowało wstrzymać badania na planecie...

– A kogo to szanowni zebrani chcą pokroić? – spytał Stankow stając w drzwiach z bronią ukrytą za plecami.

– Powiedzmy, że ciebie – Berth wyjął z kieszeni neuroparalizator i spróbował obezwładnić Stankowa.

Ten, z obojętnością, przyjął falę stężonego haloperidolu.

– Wiedziałem! To podstęp! – ordynator poderwał się od stołu. Był nagi, a jego skóra, szara i łuszcząca się, pękła nagle i z niej jak z kokonu, zaczęło wypełzać coś, co Stankow już znał. Powiedział więc:

– To nie karnawał, kolego, nie lubię przebierańców – po czym zatrzasnął drzwi.

Miał teraz przed sobą gromadę dezorientowanych ludzi w kitlach i jednego upiora.

– Nieźle! – Berth rozbierał się powoli gotów do natychmiastowej metamorfozy. Zerkał przy tym to na Stankowa, to na swego szefa. – A może mu powiemy? Wygląda na rozsądnego mimo, przekonstrowany biofizycznie.

– Nie sądzę, by to coś dało – wychrypiał upiór – on... nie kontaktuje psychofizycznie. Należy go natychmiast zni...

Stankow strzelił dwa razy i dwa krwawe strzępy oblepiły podłogę i ścianę.

– ...niszczyć, to nic trudnego – śmiejąc się wskazał na tamtych.

– Do licha, kim pan jest?! – wystękał jeden z mężczyzn w stroju laboranta.

– Cyborgiem – powiedział – ale nim mnie przekonstrowano, byłem człowiekiem, takim jak wy, zanim trafiliście na Planetę Grozy... bo byliście tam wszyscy, nieprawdaż?

– Ależ ja jestem człowiekiem! – zaskowycał laborant patrząc na broń.

– No, to ściągaj, bracie, swoje łachy z grzbietu i udowodnij mi, że nie masz w brzuchu, zamiast kiszek, kłębu macek porośniętych pierzem...



Skoczyli na niego. Gdyby był człowiekiem, zginąłby. Ale nie był. Więc oni zginęli.

Potem, repetując miotacz, usiadł na jedynym czystym krześle i na tarczy wideofonu wystukał numer centrali Kosmopolu.

A kiedy ekran pojaśniał i dyżurny oficer z przerażeniem w oczach – widział przecież część pokoju, a nie był to widok byle jaki, ale gorszy – unióśł do góry brwi, niezdolny wykrztusić słowa, Stankow powiedział:

– Porucznik Stanisław MacLasky melduje zlikwidowanie obcej agentury na Ziemi. Proszę przekazać do IV departamentu.

Oficer milcząc zasalutował, ale nie wyłączył się. Stankow nie był zdziwiony. Bądź co bądź ściśle tajny wydział czwarty był domeną kontrwywiadu w gestii samego Sekretarza Generalnego ONZ i nawet w Kosmopolu mało kto miał okazję poznać osobiście agenta od „cichociemnych”, a co dopiero widzieć go przy „pracy”.

– Może przysłać patrol...? – niepewnie zaproponował oficer, mało nie włączając nosem w ekran.

– Dziękuję, sam posprzątam! – Stankow wyłączył wideofon.

Następnego dnia, ubrany w luźne kimono, wyspany i zregenerowany, wszedł do budynku szpitala. Okolica nadal była obstawiona wojskiem, a ludzie z prasy i wideo szaleli, by dostać się bodaj na minutę do wnętrza. W windzie spotkał oficera, z którym rozmawiał wieczorem. Facet na jego widok zrobił się bielszy od wykładziny ścian – a były to naprawdę białe ściany – i łykając ślinę, powiedział cicho:

– Widziałem to z bliska! Potworne! Jeżeli ta planeta pełna jest tego paskudztwa, to... należy ją zniszczyć tak, jak pan to zrobił z tymi ośmioma upiorami...

Nic mu nie odpowiedział. To nie był czas i miejsce, by tłumaczyć, że nie jest sztuką unicestwienie, ale sztuką jest zrozumienie i koegzystencja. Wysiadł z windy bez słowa.

W sali zabiegowej leżeli jego trzej towarzysze niedoli. Mimo że osłabieni po operacji usunięcia z ich mózgow obcych biokryształów pamięciowych, wszyscy byli uśmiechnięci i gotowi do rozmowy.

– Dokąd?! – drogę zagroził mu wysoki lekarz o ascetycznej twarzy i surowych szarych oczach:

– Koledzy! – skinął na rekonwalescentów.

Dopiero teraz lekarz poznał go i rozpogodził się, mówiąc:

– Widzę, że zrobiłem właściwy wybór. Przetrwales! No i jak tam twoje obwody, cyborgu? – klepnął go w ramię, a w oczach miał wypisaną zasłużoną dumę, którą maskował iskrami śmiechu.

– Iskrzą na złączach, kiedy zbiera się na deszcz! – odparł, mrużąc oko. – A swoją drogą, mógł pan bardziej uodpornić mnie na warunki zewnętrzne. Proszę mi wierzyć, przeszedłem piekło...

– Miałeś wyglądać i czuć jak człowiek, ale zarazem być supersprawną istotą, prawie maszyną – lekarz westchnął, poważniejąc. – Oczywiście, o ile życzysz sobie, natychmiast zrekonstruuje cię w dawnej postaci....

– Może nie tym razem, mam jeszcze parę spraw do załatwienia... W innych rejonach, na innych planetach.

– Rozumiem! – lekarz opuścił głowę. – Tylko nie daj się zabić – szepnął, odchodząc korytarzem.

MacLasky vel Stankow wyszczerzył swoje plastikowe zęby w bezgłośnym, wilczym uśmiechu i też szepnął:

– „Dobrze, tatusiu!” – powiedział Pinokio do swojego ojca stolarza. Ale będąc urwisem miał przygód bez liku... – po czym, obracając się do kolegów, krzyknął: – Cześć, orły, jak wasze lepetyny?!

– Fajnie! – Tomms pogroził mu palcem. – Draniu – mruknął, – to tak z kolegi robisz balona? Już mi wszystko donieśli...

Kalina i Adams, słysząc to, popatrzyli na sierżanta dziwnym wzrokiem.

– Well, my boys... to nie moja wina, że wszyscy pracujemy w jednej „firmie” – wyjaśnił MacLasky.

– Niech to licha! – Kalina parsknął śmiechem, a za nim Adams i Tomms.

– Ładne kwiatki – krzyknęła jakaś pielęgniarka, wpadając do sali – co to za hałas?!

– To nie kwiatki, szanowna pani – zaoponował MacLasky. – To kwiat Kosmopolu!